

Bartłomiej Kozłowski

Głos (chyba nietypowy) w „temacie” uchodźców, „mowy nienawiści”, i ... samochodów

Z dużą dozą pewności można przypuszczać, że istnieje nie stuprocentowa, rzecz jasna – tak nie jest nigdy i w żadnej sprawie – ale mimo wszystko statystycznie istotna korelacja między postawami w sprawie tępienia przez prawo, czy też prawnej tolerancji dla tzw. „mowy nienawiści” a postawami w kwestii polityki wobec uchodźców. Tzn. że ludzie opowiadający się za przyjmowaniem do Polski i w ogóle do Europy uchodźców z krajów zamieszkałych głównie przez muzułmanów częściej opowiadają się za ściganiem na drodze sądowej ludzi wygłaszających jakiegokolwiek wrogię opinię o uchodźcach (i w ogóle o takich czy innych grupach ludzi wyróżniających się takimi cechami, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, czy religijna) i skazywaniem ich za np. *„publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość”* tj. przestępstwo z art. 256 § 1 k.k. bądź za *„publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości”* tj. przestępstwo określone w art. 257 k.k. niż ci, którzy są za tym, by uchodźców nie wpuszczać i którzy wobec uchodźców mają stosunek najogólniej rzecz biorąc podejrzliwy, niechętny, czy tym bardziej wrogi. Takie jest w każdym razie moje wyczucie – nie czytałem bowiem żadnych wyników jakichś badań na ten temat i nic nie wiem też o tym, by jakieś tego rodzaju badania były robione. Przypuszczam też jednak, że podobne wyczucie ma co najmniej większość ludzi, którzy zastanawiali się nad takim problemem (znów, nie mam zielonego pojęcia, jak dużo takich ludzi jest – przypuszczam znów, że niezbyt wielu). Po prostu, jest rzeczą naturalną, że wśród ludzi, którzy z sympatią odnoszą się do jakiejś grupy częściej znajdują się ci, którzy opowiedzą się za karaniem nienawistnych czy obelżywych wypowiedzi na temat członków takiej grupy, niż że tacy ludzie znajdują się wśród tych, którzy do takiej grupy odnoszą się nieprzychylnie. Zwłaszcza, gdy ma to miejsce w takim kraju, w którym przekonanie o tym, że wolność słowa obejmuje także prawo do wygłaszania jakiegokolwiek – także pełnych nienawiści i obraźliwych - poglądów nie jest mocno zakorzenione w społecznej świadomości.

Wystarczy się jednak przez choćby chwilę zastanowić nad co najmniej niektórymi argumentami przytaczanymi jako uzasadnienie konieczności tępienia „mowy nienawiści” i argumentami mającymi uzasadnić pogląd, że uchodźców należy nie wpuszczać by dojść do wniosku, że myślenie zwolenników ścigania i karania za „hate speech” i zwolenników niewpuszczania uchodźców wykazuje nader wyraźne podobieństwa. Dlaczego w każdym razie taki jest mój wniosek? Otóż pomyślmy o (niektórych, nie twierdzę, że są to wszystkie) motywacjach zakazów „nienawistnej mowy” i motywacjach (też, znów, niektórych – ale mimo wszystko częstych i ważnych) przyswiecających zwolennikom polityki nie przyjmowania uchodźców. Zakazy „mowy nienawiści” często uzasadnia się tym, że taka „mowa” może prowadzić do przemocy przeciwko członkom tych grup, do których „mowa” taka się odnosi. Twierdzenia, że uchodźców nie należy przyjmować nader często uzasadniane

przy użyciu argumentu, że wśród uchodźców mogą znajdować się terroryści, którzy dokonają zamachów w kraju, do którego przybyli. Jak zatem widać, choć szkody do jakich zdaniem zwolenników wspomnianych rodzajów polityki miałyby prowadzić prawna tolerancja wobec „mowy nienawiści” i przyjmowanie uchodźców dotyczyłyby głównie różnych grup – zwolennicy karania za „hate speech” często uważają, „mowa nienawiści” prowadzi do przemocy przeciwko takim grupom, jak m.in. uchodźcy (a także mniejszości narodowe, etniczne, rasowe, wyznaniowe czy seksualne), zwolennicy niewpuszczania uchodźców uważają z kolei, że skutek przyjęcia uchodźców ucierpiałaby większość ludności krajów, któryby ich przyjęły – ale trudno byłoby się nie zgodzić z twierdzeniem, że szkody te są rodzajowo podobne do siebie.

Rzecz jasna, trzeba też to powiedzieć, że wzajemne relacje między czy to „mową nienawiści” a przemocą wobec takich czy innych mniejszości, czy też między przyjmowaniem uchodźców i wzrostem zagrożenia terrorystycznego nie są proste i jednoznaczne. Nawet najbardziej zagorzały zwolennik twierdzenia, że „mowa nienawiści” prowadzi do przemocy nie twierdzi, że „hate speech” wywołuje przemoc w taki sam sposób, w jaki kłamliwe wzniesienie okrzyku „pali się!” w pełnym ludzi kinie czy teatrze wywołuje panikę i wzajemne traktowanie się uciekających w popłochu widzów – albo w taki sposób w jaki podburzanie już rozwścieczonego tłumu do fizycznego ataku na kogoś będącego obiektem wściekłości tego tłumu może do takiego ataku faktycznie prowadzić. Każdy zgodzi się z tym, że takie twierdzenie byłoby nieprawdziwe. Jeśli z kolei ktoś chciałby twierdzić, że jakkolwiek konkretny przypadek „mowy nienawiści” nie musi prowadzić do przemocy, ale systematyczne stykanie się z taką mową zwiększa prawdopodobieństwo posunięcia się do niej, to chciałbym zauważyć, że gdyby tak było (a w każdym razie musiałyby być) to sprawcami niektórych przynajmniej „przestępstw z nienawiści” musieliby być członkowie stowarzyszeń walczących z taką „mową” – takich, jak np. „Otwarta Rzeczpospolita” – którzy z „mową nienawiści” stykają się niewątpliwie znacznie częściej od przeciętnego człowieka z ulicy. Oczywiście – nie słyszałem o jakichkolwiek „przestępstwach z nienawiści” których by dokonywali członkowie takich grup. No chyba, że rzecz polega na tym, że członkowie np. „Otwartej Rzeczypospolitej” mają jakąś cudowną odporność na „hate speech” której nie mają zwykli śmiertelnicy. To jednak trudno byłoby poważnie twierdzić. Z kolei zwolennicy tezy, że przyjmowanie uchodźców zwiększa zagrożenie terroryzmem nie uważają, że wszyscy uchodźcy są terrorystami. Nie – uważają oni po prostu, że wśród uchodźców mogą być terroryści i że to jest dostateczny powód do tego, by żadnych uchodźców nie przyjmować.

Krótko mówiąc, jedni i drudzy są za zakazami tego, czy tamtego nie (a w każdym razie nie tylko) z tego względu, że to coś, czego chcieliby oni zakazać (czy zakaz czego oni popierają) ma bezpośrednie szkodliwe skutki, ale z tego względu, że to coś może do takich skutków prowadzić – nawet, gdy niebezpieczeństwo faktycznego zaistnienia takich skutków nie jest ani wyraźne, ani bezpośrednie, a co najwyżej potencjalnie możliwe. Ale czy można zakazywać ludziom robienia pewnych rzeczy z tego po prostu powodu, że mogą one prowadzić do czegoś złego – nawet jeśli nie zawsze do tego prowadzą i faktycznie prowadzą do tego rzadko?

To nie jest pytanie, na które łatwo jest udzielić jakiejś zdecydowanej i generalnej odpowiedzi. Zdecydowana odpowiedź na „nie” w sposób logiczny prowadziłyby do wniosku, że z kodeksu karnego należałoby usunąć przepisy przewidujące odpowiedzialność za usiłowanie, a już w szczególności za przygotowanie popełnienia przestępstwa (co jest karalne w odniesieniu do niektórych przestępstw). A także, że należałoby usunąć z niego (i w ogóle z systemu prawnego) przepisy zabraniające np. jazdy w stanie po spożyciu alkoholu, czy produkcji (bez spełnienia wymaganych warunków) materiałów wybuchowych – które przecież niekoniecznie muszą wybuchnąć i niekoniecznie muszą zostać wykorzystane w przestępczym celu. Niewielu ludzi byłoby gotowych zgodzić się z tak skrajnie daleko idącym wnioskiem.

Musimy się więc zgodzić się z twierdzeniem, że władze czasami przynajmniej mogą zabraniać pewnych rzeczy – takich jak choćby produkowania bomb (w wyniku którego nikt jeszcze nie zostaje pokrzywdzony) – z tego względu, że mogą mieć one złe skutki. Zgadzając się zasadniczo z takim twierdzeniem chciałbym jednak zauważyć, że stosunek ludzi do zakazywania tego czy owego z tego względu, że to coś potencjalnie może do czegoś prowadzić jest zazwyczaj wybitnie niekonsekwentny.

Jak zostało tu już wspomniane, wielu ludzi uważa, że tzw. „mowa nienawiści” powinna być zakazana i karana z tego powodu, że prowadzi ona do przemocy wobec członków mniejszości, przeciwko którym mowa taka jest skierowana. Podobnie też znalazłoby się sporo osób będących zdania, że pornografia powinna być zabroniona z tego względu, że przyczynia się ona do gwałtów, czy takich, którzy są za tępieniem (fikcyjnej) przemocy w mediach, gdyż ich zdaniem przyczynia się ona do (realnej) przemocy w życiu. Oczywiście jest jednak, że tylko bardzo nieliczni „konsumenty” czy to *hejtspiczu*, czy pornografii (w tym także jej brutalnych i ukazujących zakazane prawnie zachowania odmian), czy medialnych scen przemocy dopuszczają się czynów, odnośnie których można byłoby podejrzewać, że ich dokonywanie jest w jakimś stopniu efektem wpływu na nich takich rodzajów ekspresji. Czego by nie powiedzieć, „mowy nienawiści” mamy w Polsce niewątpliwie sporo. Natomiast „przestępstwa z nienawiści” w sensie aktów fizycznej przemocy przeciwko innym ludziom z powodu ich narodowości, rasy, przynależności etnicznej czy wyznania – jakkolwiek są czymś wysoce niepokojącym i godnym ubolewania i potępienia – stanowią margines przestępczości w naszym kraju.

Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że „mowa nienawiści” może prowadzić do znacznie gorszych rzeczy, niż zdarzające się czasem pobicia członków takich czy innych grup narodowych, rasowych, czy religijnych, przypadki bezczeszczenia żydowskich cmentarzy itp. – mianowicie do czegoś takiego jak Holocaust czy rzeź etniczna w Rwandzie. Odnośnie takiego argumentu powiem na wstępie tyle, iż uważam, że wydarzenie się czegoś przypominającego Szoah czy rwandyjską masakrę z 1994 r. jest w obecnej Polsce i każdym innym zachodnim kraju wysoce nieprawdopodobne. Po prostu, Polska jest innym krajem, niż były przedwojenne Niemcy i zupełnie już różnym od Rwandy sprzed wydarzeń z kwietnia 1994 r. Ale absolutnej pewności, że w Polsce lub w innym zachodnim kraju do niczego takiego nie dojdzie mieć rzecz jasna mieć nie mogę – z prostego względu, że nie jestem jasnowidzem. Niemcy w latach 20 i nawet 30 zeszłego wieku też pewnie nie wyobrażali sobie

masowego mordowania Żydów w urządzanych naprędce ulicznych egzekucjach i w komorach gazowych Oświęcimia, Majdanka i Treblinki. (1)

Lecz jeśli ktoś chce wyskakiwać z argumentem, że „mowa nienawiści” powinna być zabroniona z tego powodu, że może ona doprowadzić do czegoś takiego, jak Holocaust lub przynajmniej przemoc na tle nienawiści rasowej, religijnej czy etnicznej na masową skalę, to ja chciałbym zwrócić na rzecz, która przyczynia się do strat ludzkich porównywalnych liczebnie może nie z Holocaustem, ale już na pewno z jakimiś masowymi pogromami członków takich czy innych grup narodowościowych, czy religijnych, a której jakoś nikomu (i słusznie zresztą) nie przychodzi do głowy zakazać: samochody. Dla nikogo nie jest chyba tajemnicą, że ruch drogowy, przy wszelkich korzyściach i przyjemnościach jakie ze sobą niesie (sam jestem zamiłowanym kierowcą) jest też przyczyną wielkiej liczby ludzkich nieszczęść i dramatów. W takim kraju, jak Polsce w wypadkach drogowych każdego roku ginie tylu ludzi, ilu mieszka w jakimś małym miasteczku, a wielokrotnie więcej zostaje rannych. Co tu dużo mówić, w krajach zachodnich nieszczęśliwe zdarzenie na drodze jest jedną z częstszych powodów zejścia człowieka z tego świata.

W Polsce i innych cywilizowanych krajach robi się wiele, by zmniejszyć liczbę wypadków drogowych i zminimalizować ich skutki. Wśród środków, za pomocą których usiłuje dążyć się do tego celu wymienić można budowę lepszych dróg, produkcję samochodów, których konstrukcja zwiększa bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów w przypadku kolizji, ograniczenia dopuszczalnej prędkości na drogach, surowsze kary za jazdę np. po pijanemu (kiedyś było to tylko wykroczenie, od 2000 r. jest to przestępstwo), czy zwiększanie wymagań stawianych zdającym na prawo jazdy. Do zapewnienia bezpieczeństwa na drogach dąży się więc także poprzez – było nie było – ograniczenia wolności, w sensie choćby tego, jak szybko wolno jeździć i po wprowadzeniu do swojego organizmu jakich substancji wolno jeździć swoim pojazdem.

I fakty są takie, że liczba wypadków drogowych w Polsce w ostatnich latach wyraźnie maleje (nie wnika tu, z jakich przyczyn, bo artykuł nie jest zasadniczo rzecz biorąc o tym). Świadczą o tym wyraźnie policyjne statystyki, z których wynika, że o ile w 2005 r. odnotowano w naszym kraju 48 100 wypadków, w których zginęło 5 444 osoby, a 61 191 zostało rannych, to w 2015 r. wypadków odnotowano 32 967 – śmierć w nich poniosło 2 938 osób, a 39 778 osób doznało mniejszych lub większych obrażeń. Postęp w dziedzinie bezpieczeństwa na drogach jest w Polsce w ostatnich latach niewątpliwie znaczący... ale te 2 938 zabitych i 39 778 osób rannych (w tym 11 200 ciężko rannych) w wypadkach drogowych w 2015 r. to wciąż bardzo dużo. Wyobraźmy sobie, że taka liczba ludzi zginęłaby i odniosła obrażenia w wyniku jakichś np. rasistowskich pogromów – nie uznalibyśmy tej liczby za przerażającą?

Istnieje jednak – teoretycznie rzecz biorąc – sposób na to, by liczbę wypadków drogowych i ich ofiar zmniejszyć do bliskiej 0, lub być może nawet po prostu do 0. (2) Jaki? Bardzo prosty – zakazać, pod groźbą surowej kary, użytkowania wszelkich tzw. pojazdów mechanicznych. No, a może zaraz nie wszelkich pojazdów – bo pojazdy też czasem ratują ludzkie życie, bądź przynajmniej przyczyniają się do jego ratowania – weźmy tu choćby karetki pogotowia, a

także samochody policyjne i wozy straży pożarnej – ale wszystkich pojazdów z wyjątkiem wyżej wymienionych. No, a może jeszcze dopuścimy do ruchu pojazdy zapewniające niezbędny przewóz towarów, konieczny dowóz pracowników do zakładów pracy, lecz wykluczmy wszelkich ruch prywatny, nie związany z powyższymi czynnościami. Albo... ostatecznie rzecz biorąc, dozwólmy na prywatną jazdę samochodem... ale z prędkością nie większą niż – powiedzmy – 30 km/h. Czy nawet – niech będzie – 50 km/h. Pod groźbą spędzenia – powiedzmy – dwóch lat w kryminale w przypadku jej przekroczenia.

Rzecz jasna, nie mam najmniejszego zamiaru propagowania któregośkolwiek z powyższych rozwiązań. Proponowałby je zresztą ktoś nie będący zwykłym pomyślnym? Dygresja o samochodach i wypadkach jest tu jednak istotna. Pokazuje ona bowiem ważną rzecz, jeśli chodzi o dominujący w Polsce i chyba w całym cywilizowanym świecie system wartości, a w szczególności gdy chodzi o to, jak w tym systemie umiejscawiamy takie wartości, jak prawo do życia, bezpieczeństwo, wolność, a także nawet po prostu wygodę. Otóż, takie wartości, jak prawo człowieka do życia i do fizycznego bezpieczeństwa są ważne – bardzo ważne, nawet wyjątkowo ważne. Ale nie są mimo wszystko *aż tak ważne*, by wszelkie inne wartości przestawały się wobec nich liczyć. Nikt – poza może jakimś odosobnionymi jednostkami, którymi nie ma co się zajmować – nie uważa, że życie i fizyczne bezpieczeństwo ludzi jest aż tak wielką wartością, by w imię ochrony tych wartości należało zakazać robienia wszystkiego, co tym wartościom może czasem zagrozić. Fakt, że nikomu poważnie nie przychodzi do głowy zakazać produkcji i używania samochodów to nie jedyny z możliwych przykładów potwierdzających taką tezę. Gaz (np. ziemny) czasem wybuchu - chciałby ktoś wprowadzić zakaz używania gazu? Za pomocą zapalek bez wątpienia można wywołać pożar, w którym zginą ludzie – proponuje ktoś zakaz produkcji i stosowania zapalek?

Jeśli takie wartości, jak prawo ludzi do życia i bezpieczeństwa fizycznego – będąc wyjątkowo ważnymi wartościami – nie są jednak aż tak ważnymi wartościami, by po prostu przekreślić takie wartości, jak choćby prawo ludzi do szybkiego i wygodnego poruszania się – choć realizacja tego prawa (mniejsza o to, czy prawo do posiadania i używania samochodu jest jakimś podstawowym prawem człowieka – niewątpliwie przez wielu ludzi jest ono postrzegane jako takie prawo) czasem prowadzi do zagrożenia tych wartości, to czy mogą one przekreślać np. prawo ludzi do wyrażania pewnych poglądów – z tego względu, że poglądy te są niebezpieczne, mogące prowadzić np. do aktów przemocy? Zastanawiając się nad tym warto zauważyć, że związki między po prostu istnieniem czegoś takiego, jak ruch drogowy, a przypadkami śmierci czy odnoszenia przez ludzi obrażeń w wypadkach komunikacyjnych są bez porównania bardziej jasne i oczywiste, niż związki między np. „mową nienawiści”, a przestępstwami z nienawiści w sensie np. pobić czy zabójstw motywowanych wrogością wobec ludzi takiej czy innej rasy, narodowości, wyznania, orientacji seksualnej itp. Jakby nie było, każde nieszczęśliwe zdarzenie na drodze jest spowodowane tym, że ktoś jechał – kierował – takim czy innym pojazdem. W bardziej odległy, ale również oczywisty sposób jest też spowodowane tym, że pojazd został wcześniej wyprodukowany, a jeszcze wcześniej zaprojektowany. Jest też zazwyczaj – również pośrednio, ale też w oczywisty sposób – wynikiem istnienia drogi, na której można rozpędzić się do prędkości nieco większej, niż 30 czy nawet 50 km/h. Oczywiście, nie jest też tak, że ruch drogowy w jakiś zupełnie przypadkowy, „ślepy” sposób powoduje wypadki. Nie – większość wypadków powodowana

jest lekkomyślnymi, czy nieodpowiedzialnymi wręcz zachowaniami użytkowników ruchu drogowego, często – choć bynajmniej nie zawsze – dokonywanymi w stanie po spożyciu alkoholu. Lecz jakby się na to nie patrzeć, oczywiste też jest, że wypadków samochodowych nie byłoby bez istnienia samochodów. Czy możemy powiedzieć, że przestępstw z nienawiści nie byłoby bez „mowy nienawiści”? Czy między jednym a drugim zjawiskiem istnieje związek przyczynowo – skutkowy porównywalny choćby do tego, jaki istnieje między ruchem drogowym, a wypadkami drogowymi, a który – mimo jego oczywistości – mało kto przecież uważa za powód do zakazu produkcji i używania samochodów? Jasne jest chyba, że „mowa nienawiści” sama nie rani (fizycznie w każdym razie) i nie zabija – mogą to robić co najwyżej ludzie, na których psychikę wpływ wywarła „mowa nienawiści”. Ale co do tego wpływu zachodzi mimo wszystko pytanie, czy czymś szczególnie wpływającym na sprawców przestępstw z nienawiści jest właśnie tzw. „mowa nienawiści”? Taka, o której bez większych wątpliwości dałoby się powiedzieć „*tak, to jest publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, rasowych, wyznaniowych...*” itp.? Albo „*tak, to jest publiczne znieważenie grupy ludności z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości*” (lub innej cechy nie ujętej jeszcze w prawie dotyczącym „nawoływania do nienawiści” i grupowych zniewag? – np. orientacji seksualnej). Lub, „*tak, to jest nawoływanie do stosowania przemocy wobec grupy ludzi z powodu ich narodowości, rasy, wyznania...*”, itp.? A nie np. medialne informacje o takich zdarzeniach, jak akty terroru dokonywane przez niektórych wyznawców islamu – takie, jak masakra w redakcji „Charlie Hebdo”, masakra przy użyciu ciężarówki na Promenadzie Anglików 14 lipca 2016 r. w Nicei, czy podobna masakra na jarmarku bożonarodzeniowym w grudniu 2016 r. w Berlinie? Czy też informacje o napływie uchodźców i imigrantów do Europy – których Iwia część, było nie było, wyznaje islam i znajdujące się między tymi informacjami sugestie, że uchodźcy i imigranci są – delikatnie mówiąc – problemem? To w najlepszym razie nie jest jasne. Na moje wyczcucie, treści absolutnie legalne – np. informacje o tym, że jakiś islamski fanatyk dokonał zamachu terrorystycznego, w wyniku którego zginęło ileś tam osób – mogą znacznie bardziej przyczyniać się do nienawiści i przypadków przemocy wobec takiej grupy osób, jak muzułmanie, niż treści nielegalne – np. jawnie nawołujące do nienawiści czy też stosowania przemocy wobec (np.) muzułmanów, bądź znieważające muzułmanów jako całą grupę. Jakby nie było (choć rzecz nie dotyczy w sposób konieczny muzułmanów) [badania przeprowadzone kilkanaście lat temu w Niemczech](#), gdzie w latach 90. miała miejsce fala bardzo niejednokrotnie brutalnej przemocy wobec imigrantów, wykazały, że ofiarami przemocy najczęściej padali wcale nie członkowie tych grup, które „obiektywnie” rzecz biorąc stwarzały największe problemy – w sensie np. zabierania należnych rzekomo prawdziwym Niemcom miejsc pracy, czy zajmowania mieszkań, ale członkowie tych grup, o których najwięcej pisano i mówiono w mediach. Wypowiedzi, o które chodziło nie były jednak w żadnym wypadku zabronioną i surowo karaną w Niemczech „mową nienawiści” lecz wypowiedziami całkowicie legalnymi - nie powodującymi w każdym razie interwencji prokuratury. Anders Breivik przytaczał w swym manifestie publikacje takich autorów, jak Melanie Phillips i Bruce Bawer jako – [jak pisze Kenan Malik](#) - „centralne dla kształtowania się jego morderczej nienawiści wobec muzułmanów i „kulturowych marksistów”. To są może i kontrowersyjni, wysoce krytycznie wobec islamu nastawieni publicyści, ale nie natknąłem się nigdzie na informacje mówiące o

tym, by publicystów tych ktoś chciał ścigać za przestępstwa „mowy nienawiści” – choć przynajmniej w przypadku działającej w Wielkiej Brytanii Melanii Philips byłoby to potencjalnie możliwe, jako że Zjednoczone Królestwo ma swym systemie prawnym przepisy wymierzone w „hate speech”. Niewątpliwie jest w każdym razie, że zakres wypowiedzi, które mogą przyczyniać się do przemocy wobec członków takich grup, jak imigranci – i w ogóle grupy wyróżniające się takimi cechami, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa itp. jest znacznie szerszy, niż zakres tych wypowiedzi, które można byłoby zakwalifikować jako przestępstwo nawoływania do nienawiści, nawoływania do przemocy czy znieważenia jakiejś grupy z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości (czy jeszcze jakiejś innej cechy – orientacji seksualnej, płci, wieku itd.). Chciałby ktoś zakazać wszystkich tych wypowiedzi z tego powodu, że mogą się one przyczyniać do aktów przemocy wobec np. imigrantów? Ludzie rzadko są konsekwentni w tym, jakich wypowiedzi i jakich poglądów należy zabronić. Wielu ludzi popiera – o czym była tu już mowa – zakazy „(publicznego) nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość” oraz „publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości”, a sporo jest takich, którzy byliby skłonni rozszerzyć te zakazy tak, by zabraniały one „nawoływania do nienawiści” i znieważania także z innych powodów – np. orientacji seksualnej. Z pewnością wielu ludzi popiera zakazy pornografii łączącej seks z (zupełnie udawaną nawet) przemocą, czy też pornografii, w której – nawet w sposób czysto fikcyjny – ukazywane są dzieci, i znalazłoby się pewnie sporo takich, którzy skłonni byliby zakazać wszelkiej pornografii w ogóle. Być może, że jeszcze więcej ludzi popiera generalne zakazy nawoływania do popełnienia przestępstw i pochwalania ich popełniania. Ale nie zetknąłem się jeszcze z informacją np. o kimś, kto chciałby zakazać straszenia globalnym ociepleniem, gdyż niektórzy ludzie przejęci niebezpieczeństwem efektu cieplarnianego podpalali obwiniane często o przyczynianie się do tego efektu samochody typu SUV i [byli też tacy](#), którzy ze strachu przed globalnym ociepleniem zamordowali swoje dziecko, usiłovali zgładzić drugie – co nie udało im się tylko cudem – i zabili siebie. Bądź o kimś, kto chciałby zabronić straszenia potencjalnie zgubnymi skutkami inżynierii genetycznej i bio czy nanotechnologii, bo ludzie wierzący w groźbę takich skutków podpalają czasem laboratoria, w których prowadzi się eksperymenty genetyczne i badania nad nanotechnologią, a członkowie działającej w Meksyku grupy „*Indyvidualidades Tendiendo a lo Salvaje*” w następstwie takiego przekonania mordowali naukowców zajmujących się wspomnianymi dziedzinami wiedzy. Względnie o kimś, kto chciałby zakazać pisania o cierpieniach zwierząt w rzeźniach, fermach zwierząt futerkowych czy laboratoriach badawczych i przekonywania, że to co dzieje się w takich miejscach niczym nie różni się do tego, co działo się w nazistowskich obozach zagłady, bo niektórzy ludzie będący pod wpływem takich treści podpalają rzeźnie, ciężarówki do przewozu zwierząt rzeźnych, fermy zwierząt futerkowych, a niekiedy nawet fizycznie atakują ludzi odpowiedzialnych według nich za wyrządzanie krzywdy zwierzętom. Albo też o kimś, kto chciałby zakazać szerzenia poglądu o równej wartości wszelkiego życia, gdyż wyznawcy tego poglądu w imię obrony równie ich zdaniem jak przedstawiciele gatunku Homo Sapiens wartościowych organizmów – rozmaitych zwierząt, roślin a nawet

drobnoustrojów – dokonywali podpażeń budynków wznoszonych na terenach uznawanych przez nich za wartościowe przyrodniczo i wysadzali wkraczające na takie tereny linie energetyczne i gazociągi. Anty – czy jak kto woli – alterglobaliści, wiedzeni przekonaniem, że gremia w rodzaju WTO, MFW i Banku Światowego są winowajcami nędzy, wyzysku, głodu, niszczenia środowiska i jeszcze innych nieszczęść krajów (głównie) III Świata podczas mityngów tych ciał urządzali rozruchy, po których miasta będące ich miejscem wyglądały niczym po huraganie. Nie słyszałem jednak nigdy o tym, by ktoś proponował wprowadzenie zakazu propagowania przekonań wyznawanych przez antyglobalistów z tego względu, że motywują one niektórych z nich do stosowania przemocy. Anarchoprymitywizm – pogląd, że świat powinien powrócić do stanu sprzed rozwoju cywilizacji jest ideologią potencjalnie może nawet groźniejszą od faszyzmu, komunizmu i fundamentalizmu islamskiego. Oczywiście, ideologia ta ze względu na swą delikatnie mówiąc oryginalność niewielu ludziom trafia do przekonania. Niektórym jednak trafia i niektórzy z nich w następstwie przekonania do takiej ideologii dokonują aktów przemocy. Nie zetknąłem się jednak nigdy z propozycją, by szerzenie takiej ideologii było zakazane przez prawo. A przecież związki między słowami, a czynami we wszystkich wspomnianych powyżej przypadkach są praktycznie rzecz biorąc identyczne, jak te które mogą występować między np. „hate speech” i „hate crimes”, czy między pornografią, a przypadkami rzekomo, czy nawet rzeczywiście inspirowanych przez nią gwałtów. To prawda, że mógłby ktoś powiedzieć, że nieco więcej ludzi zginęło i zostało w ogóle w jakikolwiek sposób pokrzywdzonych wskutek „nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” której szerzenia zabrania art. 256 k.k. niż z powodu przekonania o zgubność globalnego ocieplenia, czy nanotechnologii. Lecz jeśli to miałby być argument usprawiedliwiający istnienie w kodeksie karnym takich przepisów, jak art. 256 i 257, to warto, jak myślę, zwrócić uwagę na logikę stojącą za tymi przepisami. A logika ta – o ile celem istnienia i egzekwowania takich przepisów jest zapobieganie przemocy na tle nienawiści czy pogardy wobec ludzi takich czy innych narodowości, ras, wyznań itp. – jest logiką przede wszystkim prewencji, i to sięgającej daleko. Inaczej mówiąc, zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” jeśli uważają, że „mowa” taka powinna być zabroniona i karana z tego względu, że może ona prowadzić do przemocy, to muszą uważać, że przemocy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych itd. należy zapobiegać zabraniając już szerzenia poglądów, mogących czasem stać się podłożem takiej przemocy. Nie można byłoby w myśl tej logiki zabronić szerzenia innych poglądów, niż te, które mogą „podpaść” pod art. 256 i 257 k.k. w celu zapobiegania innym przyszłym aktom przemocy? Co w tej logice miałoby na coś takiego nie pozwalać, poza wolą prawodawcy, który łaskawie nie chce zabronić wszystkiego? (3)

Logika stojąca za zakazami „hate speech” i podobnie np. zakazami pornografii, scen brutalnej przemocy w mediach itp. jest, jak widać, mocno kulawa. Na ogół odrzucamy taką logikę – jak była tu już mowa, nikomu poważnie nie przychodzi na myśl wprowadzenie np. zakazu produkcji i używania samochodów z tego powodu, że ich używanie prowadzi czasem do wypadków, w których giną ludzie, na ogół nie zakazuje się takich czy innych rodzajów ekspresji z tego względu, że ekspresja ta może prowadzić do przemocy – pomijając już przykłady wspomniane powyżej nikt chyba nie proponuje, by zakazać rozpowszechniania

Biblii z tego względu, że żadna inna książka nie była równie często przytaczana przez rozmaitych kryminalistów i psychopatów jako źródło inspiracji lub usprawiedliwienia dla popełnionych przez nich zbrodni.

Nie jest równie kulawa logika stojąca za nieprzyjmowaniem uchodźców? Oczywiście, takiego wniosku nie można wysnuć w sposób automatyczny. To, że wolność słowa chroni prawo do „niebezpiecznych” wypowiedzi – mogących np. przekonać ludzi do poglądów mogących czasem zaowocować aktami przemocy wynika z tego, że wolność wyłącznie „bezpiecznych” nie mogących przyczynić się do czegokolwiek złego wypowiedzi nie byłaby żadną wolnością – jak ujął to niegdyś sędzia Sądu Najwyższego USA Oliver Wendell Holmes jr. „każda idea jest podleganiem” – wolność szerzenia jedynie niepodlegających idei byłaby zatem równoznaczna z zakazem szerzenia jakichkolwiek idei. Trudno jest też powiedzieć, jakie wypowiedzi są potencjalnie niebezpieczne, a jakie nie. Jest coś na zdrowy rozum niebezpiecznego w obrazie pomalowanej na złocisty kolor (bo przecież nie naprawdę złotej) figury cielaka i płasach wokół niej skąpo odzianych kobiet? Wydaje się, że nie. Lecz pod wpływem takiego właśnie, zdawałoby się absolutnie bezpiecznego obrazu niejaki Heinrich Pommerenke, który zobaczył go w filmie „Dziesięcioro Przykazań” obejrzanym przez niego w kinie w Karlsruhe gdzieś pod koniec lat 50. XX wieku pojął nagle, że kobiety są odpowiedzialne za wszelkie zło tego świata i w następstwie tego przekonania zamordował 4 kobiety – pierwszą w miejskim parku wkrótce po wyjściu z kina – 12 usiłował zabić, a 20 innych zgwałcił. Jest coś niebezpiecznego w widoku księdza pijącego wino przemienione w Krew Chrystusa w momencie Podniesienia we Mszy Świętej? Skazany za 6 morderstw i powieszony w 1949 r. angielski „wampir” John Georg Haigh, który pił krew swoich ofiar przez słomkę i rozpuszczał ich ciała w kadziach z kwasem siarkowym według swych własnych zeznań zaczął marzyć o mordowaniu ludzi i picciu ich krwi pod wpływem takiego właśnie widoku. Pogląd, że można zakazywać ludziom mówienia, pisania i publikowania pewnych rzeczy tylko dlatego, że mogą one czasem do czegoś złego prowadzić prowadzi więc do absurdu – gdyby pogląd ten konsekwentnie wcielić w życie, to należałoby zakazać niemal wszystkiego – zgodzimy się chyba bowiem co do tego, że byłby czymś absurdalnym zakaz rozpowszechniania np. Biblii, z tego względu że zawarte w niej treści inspirowały zbrodnie poczynając od burzenia pogańskich świątyń i nawracania pogan na chrześcijaństwo ogniem i mieczem, poprzez wyczyny Inkwizycji i wojny religijne między różnymi odłamami chrześcijaństwa po współczesne już akty terroryzmu, bicie żon i dzieci i rytualne mordy. Czy jednak równie absurdalny, jak pomysł zakazu propagowania potencjalnie niebezpiecznych idei jest pomysł, by państwo – a konkretnie Polska – mogło nie wpuszczać na swoje terytorium ludzi, z tego powodu, że ludzie ci wydają się potencjalnie niebezpieczni czy nawet po prostu z jakichś powodów niepożądani?

Żeby było jasne: nie mówimy tu o ludziach, odnośnie których indywidualnie istnieją konkretne przesłanki pozwalające z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że zamierzają oni przybyć do Polski po to, by dokonywać w niej aktów terroru, bądź w ogóle dopuszczać się jakichś przestępstw. Zwolennik nawet najbardziej liberalnej polityki imigracyjnej zgodzi się co do tego, że nie wpuszczanie do kraju takich osób jest co najmniej rozsądne i uzasadnione. Ale w przypadku uchodźców nie mówimy o takich osobach. Możemy mówić co najwyżej o osobach, odnośnie których nie można mieć pewności, że nie posną się

one np. do aktów terroru. Ale absolutnej pewności, że dany człowiek nie zrobi niczego złego nie można mieć do nikogo. Brak takiej pewności nie prowadzi jednak do wniosku np. o konieczności zamknięcia granic i nie wpuszczania nikogo do kraju.

Wydaje się zatem, że nie można w sposób uczciwy uzasadniać odmowy przyjmowania do Polski uchodźców tym, że nie da się wykluczyć tego, że wśród uchodźców mogą się znaleźć terroryści – bo tak do końca to nie da się wykluczyć tego, że terrorystą będzie czy też zostanie ktokolwiek. Istnieje jednak różnica między wolnością słowa, a wolnością imigracji – tego, by człowiek mógł pójść, pojechać, popłynąć czy polecieć gdziekolwiek i żyć gdziekolwiek, gdzie tylko mu się podoba. Odnośnie wolności słowa każdy zgodzi się, że jest to jedno z podstawowych praw człowieka. Ludzie mogą różnić się między sobą w opiniach co do tego, jakie powinny być granice wolności słowa i jakie wypowiedzi powinny pociągać za sobą konsekwencje prawne, ale wszyscy (czy niemal wszyscy) zgodzą się chyba co do tego, że możliwość wyrażenia takiego czy innego poglądu czy rozpowszechniania takiej bądź innej informacji nie może być uzależniona od wstępnej zgody państwa. Lecz wolność przekraczania granic jest niestety taką wolnością, której realizacja jest już wstępnie uzależniona od zgody państwa. Wszystkie państwa na świecie mają granice, których mniej lub bardziej, ale jednak strzegą i decydują o tym, kto może je przekroczyć, a kto nie. A jeśli dopuszczają swobodny i niekontrolowany – przynajmniej w zasadzie – przepływ osób między sobą, tak jak ma to miejsce np. w przypadku tzw. Strefy Schengen w Unii Europejskiej to za cenę zwiększonej kontroli granic obszaru w ramach którego taki przepływ jest dozwolony. O ile wolność słowa istnieje w tym przynajmniej sensie, że jest wolnością ogólnie rzecz biorąc uznaną, o tyle wolność imigracji w takim samym przynajmniej sensie nie istnieje – jako że nie istnieje świat bez pilnowanych przez odpowiednie służby granic między państwami. Popatrzmy tu się na Stany Zjednoczone – państwo niewątpliwie bardzo wolnościowe, jeśli chodzi o podejście do kwestii granic wolności słowa. Jak państwo to chroni swoje fizyczne granice przed niepożądanymi zdaniem jego funkcjonariuszy przybyszami! Jak wiemy, Polak może zostać nie wpuszczony do USA nie z powodu żadnego podejrzenia, że być może będzie chciał uprawiać terroryzm, ale z powodu podejrzenia, że być może będzie nielegalnie pracować. I oczywiście nie wjedzie (legalnie w każdym razie) bez wizy, której może nie dostać z jakiegokolwiek właściwie powodu.

Wolność imigracji, w sensie podobnym do np. wolności słowa, jakkolwiek realnie nie istnieje, to mimo wszystko jest jednak czymś teoretycznie rzecz biorąc wyobrażalnym. Co przemawia za uznaniem wolności pójścia, pojechania, popłynięcia czy polecenia i życia gdziekolwiek, gdzie człowiek tylko zechce? Aby się nad tym zastanowić, zastanówmy się po prostu nad tym, czym jest wolność? Z czym w pierwszym rzędzie kojarzy nam się to pojęcie? Otóż, pojęcie wolności kojarzy się przede wszystkim właśnie z wolnością pójścia, pojechania, popłynięcia bądź polecenia, dokąd się tylko chce i życia, czy to stale, czy to przez pewien czas tam, gdzie się chce. Wolność ta w całym w każdym razie zachodnim świecie jest oczywista przynajmniej w granicach poszczególnych państw. Wyjątkowo kuriozalnymi ograniczeniami wolności osobistej wydają się takie ograniczenia swobody poruszania się jak wymóg posiadania tzw. paszportu wewnętrznego w dawnym ZSRR – bez okazania tego paszportu mieszkaniec Kraju Rad nie mógł pojechać do innej części kraju niż ta w której mieszka, przy czym kołchoźnicy w czasach stalinowskich paszportów takich po prostu nie

mieli i byli w związku z tym przypisami do ziemi niczym pańszczyźniani chłopci. Nie można byłoby rozszerzyć tej oczywistej w granicach poszczególnych państw wolności tak, by obejmowała ona także przekraczanie granic między państwami – tak, jak wolność poruszania się w USA – nie wymieniona co prawda *explicite* w konstytucji, ale niewątpliwie chroniona przez V poprawkę – w sposób oczywisty obejmuje wolność przekraczania granic między poszczególnymi stanami? Oczywiście, w dzisiejszych warunkach idea świata bez granic jest utopią. Warto jednak zauważyć, że to, co dziś wydaje się utopią kiedyś po prostu realnie istniało – a istniało w czasach, których praktycznie nikt z żyjących już nie pamięta, tj. przed I wojną światową. Jak czytamy w [artykule Pera Bylundy](#) na portalu Mises.pl, przed 1914 r. *„Nie było kontroli granicznych. Istniało swobodne przemieszanie się osób w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Nie zadawano żadnych pytań, ludzie byli traktowani z szacunkiem, nie były nawet potrzebne oficjalne dokumenty, by przekroczyć granice kraju”*. Ówczesny świat nie znał czegoś takiego, jak jakieś tam „polityki imigracyjne”. Dopiero po pierwszej wojnie światowej wszystko to się zmieniło. Nie warto byłoby więc propagować idei świata bez granic – w takim sensie, w jakim świat bez granic istniał przed 1914 r. – mając na względzie choćby to, że świat taki nie jest wyłącznie jakimś dziwacznym, lewackim wymysłem, ale czymś, co kiedyś istniało naprawdę? Ale zgadzam się oczywiście z tym, że takiego świata obecnie stworzyć – szybko w każdym razie – się nie da.

Nie mogę więc uważać, że uchodźcy mogą przekroczyć granice Polski na takiej samej zasadzie, na jakiej uważam, że mogą oni (i wszyscy inni oczywiście) swobodnie wyrażać swoje poglądy (znów, przed 1914 r. wolności wyrażania poglądów nie było na świecie zbyt wiele. W Stanach Zjednoczonych słynna I Poprawka istniała wówczas praktycznie tylko na papierze – Sąd Najwyższy USA stał wówczas na stanowisku, że jedyną rzeczą, której ona zabrania, jest cenzurowanie publikacji przed ich ukazaniem się w druku). Twierdzenie, że uchodźcy powinni móc przybyć do Polski z tego prostego względu, że ludzie mają prawo do tego, by pójść, pojechać, popłynąć bądź polecieć dokąd tylko zechcą implikowałoby nie pewną tylko modyfikację istniejącej rzeczywistości – tak jak modyfikację taką implikują wysuwane przeze mnie postulaty dekryminalizacji „hate speech”, ale radykalną zmianę owej rzeczywistości. Poza tym, postulat przywrócenia takiej swobody podróżowania, jak przed I wojną światową jest postulatem obecnie nierealizowalnym – jeszcze mniej realizowalnym, niż postulat zniesienia „hate speech laws”.

Toteż nie zamierzam nawoływać do tego, by wpuścić do Polski uchodźców na takiej zasadzie, że mają oni jakieś prawo do tego, by tu przyjechać. Realnie się patrząc, to po prostu od polskich władz państwowych zależy to, czy będą mogli oni do Polski przybyć, czy też nie. Negacja prawa władz państwowych do decydowania o tym, kto może przekroczyć granice państwa, a kto nie mijałaby się z celem. To może być postulat na (daleką) przyszłość, a nie postulat odnośnie aktualnej polityki państwa.

Polskie władze mają więc niestety prawo do tego, by nie wpuszczać uchodźców. Ale czy z tego, że mają one takie prawo – mówienie, że go nie mają nic nie da – oznacza, że powinny one akurat to prawo realizować? Oczywiście nie – nic takiego to nie oznacza, w każdym razie nie automatycznie. Pytanie jakie należy zadać w kontekście sporu o to, czy przyjmować czy też nie przyjmować uchodźców nie jest zatem pytaniem z kategorii pytania, kto do czego ma

prawo – bo uchodźcy nie mają prawa przyjazdu do Polski w takim samym sensie, w jakim mają (czy też mogą mieć) prawo do swobody wypowiedzi, a prawo rządu do tego, by coś zrobić lub czegoś – np. wpuścić bądź nie wpuścić uchodźców - nie zrobić nie jest prawem z kategorii praw człowieka, ale raczej pytaniem o to, co jest dobrą, mądrą i uczciwą polityką. A jaka polityka jest dobra, mądra i uczciwa? Otóż, jest to przede wszystkim polityka oparta na faktach. I uczciwej analizie faktów i takimż wyciąganiem wniosków z faktów.

Jakie są więc fakty „w temacie” uchodźców? Są poważne podstawy do twierdzenia, że przyjęcie do Polski uchodźców stworzyłoby czy też zwiększyło zagrożenie terrorystyczne? Aby spróbować odpowiedzieć na to pytanie, warto spytać się, czy np. sprawcami niedawnych zamachów terrorystycznych w Europie byli uchodźcy. No więc byli? Przyjrzyjmy się więc sprawcom kilku takich zamachów. Weźmy na wstępie zamachy w Paryżu 13 listopada 2015 r., w których zginęło 137 osób, a 300 zostało rannych. Ich sprawcami byli obywatele francuscy i belgijscy, w większości pochodzenia marokańskiego i algierskiego. Dwóch spośród nich przeszło miesiąc przed zamachem miało się zarejestrować jako uchodźcy na greckiej wyspie Leros. Pozostałych ośmiu nie było uchodźcami. Dalej weźmy zamachy na lotnisko oraz na metro w Brukseli 16 marca 2016 r. Jego sprawcami byli czterej obywatele belgijscy o arabsko brzmiących imionach i nazwiskach. Dwóch spośród nich było kontrolowanych na granicy węgiersko – austriackiej we wrześniu 2015 r. Sprawcą masakry przy użyciu ciężarówki 14 lipca 2016 r. w Nicei był 31 letni mieszkaniec tego miasta o tunezyjskim pochodzeniu. Jak widać, nie uchodźca. Sprawcami zamachu na redakcję francuskiego satyrycznego tygodnika „Charlie Hebdo” oraz zabójstwa czterech osób w supermarkecie z kosztowną żywnością 7 stycznia 2015 r. w Paryżu byli obywatele francuscy algierskiego pochodzenia. Też nie uchodźcy. Sprawca zamachu przy użyciu ciężarówki w grudniu 2016 r. w Berlinie, 24 letni Tunezyjczyk Anis Amri w 2011 r. przyjechał z Tunezji do Włoch – można więc go chyba uznać za uchodźcę. Sprawcą zamachu w Ankarze 16 stycznia 2016 r. był syryjski uchodźca.

Jak widać, sprawcy niedawnych zamachów terrorystycznych w Europie z reguły nie byli uchodźcami... choć czasem byli nimi. Z drugiej strony, niemal wszyscy, o ile nie po prostu wszyscy z nich byli arabskiego pochodzenia i wyznawali islam. Jest po prostu nagą prawdą, że współczesny terroryzm ma najczęściej podłoże islamistyczne. Lecz jeśli tak, to dlaczego bać się w szczególności uchodźców – a nie w ogóle ludzi pochodzących z krajów arabskich lub mających arabskie korzenie, niezależnie od tego, czy są oni, czy też nie są oni uchodźcami? Może zakazać np. lotów samolotów do i przylotów z krajów arabskich? Może zakazać wpuszczania jakichkolwiek osób o arabsko brzmiących imionach i nazwiskach do Polski, a wszystkich o takich imionach i nazwiskach, którzy tu mieszkają deportować? (albo może wsadzić do więzienia). Bądź co bądź, statystyczne prawdopodobieństwo, że ktoś noszący imię np. Ahmed dokona zamachu terrorystycznego jest, jak się wydaje, znacząco większe, niż to, że zamachu takiego dokona ktoś, kto ma na imię np. John, James, Peter, czy po prostu Piotr.

Uchodźcy mogą być oczywiście sprawcami zamachów. Sprawcami zamachów mogą być też jednak nie – uchodźcy i osoby nie mające żadnych arabskich korzeni. Zostało tu już wspomniane i jest to zresztą rzeczą powszechnie wiadomą, że większość współczesnych

zamachów terrorystycznych ma swe źródło w radykalnie pojmowanym Islamie. Źródłem islamu jest, jak wiemy, Koran, a w przypadku jego sannickiej wersji także opowieści o czynach Mahometa – Hadisy. Nie może być tak, że ktoś natknie się w taki czy inny sposób na Koran (który dostępny jest także oczywiście w Internecie), stanie się pod wpływem jego lektury fanatycznym muzułmanem, a następnie zostanie terrorystą? Nie może ktoś naczytać się o wyczynach np. tzw. Państwa Islamskiego, a potem zabić kilku tam ludzi, i ogłosić, że zamachu dokonał w imię tego „państwa”. Jest to na zdrowy rozum jak najbardziej wyobrażalne... lecz nie słyszałem jeszcze o pomysśle zakazu publikowania Koranu lub pisania o Państwie Islamskim.

Jak wspomniałem na wstępie tego tekstu, ci, którzy domagają się represjonowania za „mowę nienawiści” i ci, którzy domagają się nieprzyjmowania do Polski uchodźców to przeważnie są – można w sposób rozsądny mniemać – różni ludzie. Różni, o różnych poglądach, różnych postawach... a jednak coś ich mimo wszystko łączy. Łączą ich podobieństwa w sposobach myślenia. Jedni popierają zakazy „mowy nienawiści” bo „mowa” ta może mieć złe skutki. Oczywiście może, ale jak zostało wspomniane w tym tekście, i jak pisałem już w niektórych innych swoich publikacjach, złe skutki mogą mieć wypowiedzi nie będące żadną „mową nienawiści”. I oczywiście „mowa nienawiści” może mieć nie tylko złe skutki, ale przeciwnie, jak najbardziej dobre – może np. uświadamiać niektórym ludziom, że takie rzeczy, jak rasizm czy nietolerancja wyznaniowa są problemem realnym, a nie wydumanym przez jakichś jajogłowych osobników i dostarczać motywacji do walki z takimi zjawiskami. Ci, którzy uważają, że do Polski nie należy przyjmować żadnych uchodźców są zdania, że nie da się wykluczyć, że wśród uchodźców znajdują się także terroryści – choć oczywiście jest, że większość uchodźców to ludzie uciekający przed wojną, głodem, nędzą i brakiem jakichkolwiek perspektyw życiowych. Postawy jednych i drugich są więc w dużej mierze wspólne. Jakie są to postawy? Otóż są to postawy wyolbrzymionego strachu i motywowanej tym strachem nietolerancji (a może po prostu nietolerancji, do której dorabiane jest uzasadnienie w postaci strachu? – postawy poszczególnych osób mogą się oczywiście między sobą różnić). Co zrobić z tymi postawami? Nie wiem. Aby jednak coś można było zacząć z nimi robić, należy je w pierw zidentyfikować i spróbować jakoś określić.

Przypisy:

1. Warto przy okazji zauważyć, że Republika Weimarska całkiem intensywnie tępiła antysemitką propagandę – zob. na ten temat [artykuł Flemminga Rose](#).
2. Oczywiście, możliwe jest, że znacznie więcej ludzi, niż ginie w wypadkach drogowych zginęłoby w wyniku rewolucji, która wybuchłaby w następstwie wprowadzenia takiego prawa.

3. Należy stwierdzić, że nie ma pozytywnej korelacji między egzekwowaniem zakazów „mowy nienawiści” przez władze poszczególnych krajów, a powstrzymaniem rasistowskiej, ksenofobicznej, motywowanej wrogością religijną itp. przemocy i dyskryminacji w tych krajach. Zob. w tej kwestii mój artykuł [„Pyrrusowe zwycięstwo zakazów ‘mowy nienawiści’”](#) (bardziej obszernie pisałem o tym w tekście [„Dlaczego zakazy ‘mowy nienawiści’ są bez sensu?”](#)).

[Strona główna](#)